

N^o 5.

CZWARTEK.

DNIA 1 SIERPNIA 1839.

Przedpłata na 12 półroczników wynosi we Francji fr. 5, za granicą złot. pols. 12.



Pszonka wychodzi raz na miesiąc, to jest: 1^o każdego miesiąca.

Zgłaszać się do wydawcy (franco) pod adresem *Mr Pszonka, Polonais, au café du Miroir, à Strasbourg (Bas-Rhin).*

PSZONKA.

Sejnik Szlachecki.

SCENA KONSPIRACYJNA.



Roż i nasz sędzia pędzi broniakami! Zuch! niedał się wyprzedzić hrabiemu, co tuż za nim dociera auglizowaną czwórka. O, szlachta na kiel bierze. Ba! i propinator z X. odstąpił swojej kwaterki, i rusza z starym majorem, i wikary przywozi akademika, i jeszcze ktoś, i jeszcze ktoś! Słowni! niema co mówić.

Tak recytywał pau marszałek stojąc z kilkoma osobami przy oknie.

—Widzisz panie Wacławie! (tu obrócił się do mężczyzny, co podparłszy zamyśloną czoło, siedział w kącie pokoju); widzisz, aby ino iskrę podmuchać, to wszystko aż wre, i starzy i młodzi. Przekonajże się, że nasza szlachta nie taka, aby z niej już nic nie można zrobić.

—Daj boże! westchnął Wacław, i wraz z marszałkiem postąpił ku drzwiom na przyjęcie gości.

—Witajcie! witajcie! zacny sędzio!

—A co? niedotrzymaliśmy słowa? założy się, że jeszcze niejedliście obiadu, kazałem też pędzić co koń wyskoczy.

—A widzisz marszałku, żem taki żonce się wykreślił, choć mnie obmawiacie, że chodzę w spodnicy?

—Victoria! pokonałeś niewiastę, dobry początek; ale spodziewam się, że nie niewspomniałeś o celu?...

—Tak! coś! niewiele! z daleka... o ojczyźnie, o powinościach obywatela....

—Cożes najlepszego zrobisz! rozgłosi się...

ODDZIAŁ I.

Darmo! darmo! szukałem pozorów, kręciłem, podchwyciłem za słówko, musiałem się przyznać rad nierad.

—*Hic mulier* uieda widzę wywieść się w pole! zawołał marszałek; a teraz prezentuję panom mego przyjaciela Wacława, świeżo przybywa.... a to, moi sąsiedzi: hrabia X, sędzia Z, major A, nasz pocziwy wikary i t. d. i t. d. i t. d.

Po zwykłych ukłonach i koleżeńskich ściśnieniach ręki otoczono Wacława do koła i obsypano zapytaniem:

—Pau dawno z Francji?

—Co tam nasi porabiają?

—Słyszysz wielka tam bieda!

—Ja znowu słyszałem, że opływają we wszystko.

—Żenią się?

—Pojedynkują?

—Umierają?

—A kłócą się aż strach!

—Oj zgody! zgody potrzeba!

—Książę Adam co też porabia? najszczytniejszato ofiarą rewolucyjną, z takiego majątku! mój boże! jedna Sieniawa, i cokolwiek kapitału....

—Jak mówią, tylko jednego lokaja trzyma!!!

—A też demokracja? te niby chłopcy?!

—Manifest mi się podobał!.... równość panie hrabio, równość, to grunt.

Hrabia pokręcił nosem na tę uwagę propinatora, i jakby zagadując ino unikając delikatnej materii: —Ależ nie tracimy czasu, zawołał. Przybyliśmy tu w celu porozumienia się...

—A raczej przygotowania żywności do przyszłej rewolucji, rzucił akademik.

—Rewolucyi? dalekie widoki panie filozofie; nam myśleć teraz o zapobieżeniu srogościom rządów; ktoż zostanie jak wszystkich na Sybir wywiozą?... Sądziłbym, radziłbym, czyby niemożna na drodze protekcyjnej... I tak: mam wuja adjutantem przy cesarzu, kto wie? jego wdanie się...

—Co tam protekcyja?! kościoły nam zamykają, i gwałt czynią religii, tu trzeba wojny religijnej, potrzeba fanatyzmu jak w Hiszpanii, ofuknie wikary.

—Powoli, powoli! Na drodze prawnej, rozmówianej, snadniej nam przyjść do ładu, przerwie adwokat. Wprzód należy

wyказать argumencie, że car nieprawnie dzierży koronę, że uzurpator...

—O tēm i wróble już wiedzą, krzyknie major. Wojny nam trzeba, i jeszcze wojny! Dajcie mi kilkaset naszēj dziarskiej młodzieży, coto do kielicha i korda, a zobaczycie....

—Widzieliśmy już w ostatniēm powstaniu, jak pierwszy zrejterował do Galicji, szepnie akademik Wacławowi.

—Wszystko to dobrze, lecz jako pół-środki... zaczął Wacław.

—Za pozwoleniem, niech tylko skończę, wołał jeden.

—Słówko! wołał drugi.

—Pół słówka, trzeci.

—Pan Wacław! pan Wacław niech mówi! I ta partya przekrzywała tamtych.

—Mojęm zdaniem, Wacław zacznie, wszystko, coście tn przytoczyli zaci obywatele, nieprowadzi do celu; owszem, każdy z tych środków z osobna opóźniały tylko naszą sprawę. Niemasz więc innego sposobu, jak wywołać siłę w narodzie, świeżą, niezużytą; siłę, któraby do gruntu wstrząsnęła dzisiejszy porządek, i zapewniła długie narodowi życie, a tą jest...

—Waza na stole! zawołał lokaj pompacyjnie otwierając podwoje.

—Tak, tą siłą jest waza na stole, ona nas posili, powie żartobliwie sędzia. Żołądek po przejechaniu się krzyczy o swoje prawa.

—Po pośnieniu swobodniēj bēdziemy radzić, nie nam nie-przeszkodzi, rzeknie gospodarz. A teraz służę panom, zupa wystygnie.

Podczas obiadu, jak zwykle, rozmowa toczyła się z różnēj beczki, to o zdrowiu żon i dzieci, to o nowinkach, to o romansach francuzkich, to o balu ostatnim, to czasem, lecz bardzo ostrożne słówko, o polityce. Lecz pod koniec, gdy przybywały butelki coraz z starszym węgrynem, zapal patryotyczny szedł jak termometr do góry, zwłaszcza, gdy ktoś natrącił najdrażliwszą rozmowę, dla czēgo ostatnia rewolucya nieudała się.

Owi konspiratorowie, przed godziną tacy potulni, tacy miśtyczni, teraz wrzeszczeli na całe gardło, żeby pan sprawnik mógł usłyszeć w najbliższēm powiatowēm miasteczku. Jeden Wacław i akademik w ciągłēj pogadance z kobietami, które uczuciem i rozsądkiem o sto procent przewyższały swoich mēzów, zachowali umysł trzeźwy, choć jednemu przycinano, że student, a drugiemu, że za granicą zapomniał obyczaju testamentem po Sasach zapisanego szlachcie.

Po kilkogodzinnej biesiadzie, wszyscy zebrali się w jednym salonie, wspólnie z damami. Pito czarną kawę. Panuy grały i śpiewały przy fortepianie. Wacław tylko stał w kącie, niecierpliwił się, i przeklinał, że wpadł między nich, jak Piłat w *Credo*; nie tracil jednak nadziei, że po zaspokojeniu potrzeb zmysłowych, po wyszumieniu się, szlachta na seryo weźmie się do rzeczy. Wszakże go marszałek zapewnił o niepospolitym duchu i usposobieniu do czynności konspiracyjnych. W tēj myśli więc zbliżył się do gospodarza, odciągnął na bok, i rzekł: Czas drogi, a my nie niepostanowili! znasz położenie moje, na jednēn miejscu długo bawić mi niepodobna; wreszcie, mam instrukcje, które chciałbym wam przedłożyć...

—Bądź spokojny! Jeszcze chwilkę pobałamucim, a potēm dam hasło: na łulki! i pōjdą jak za prorokiem. Tak się i stało, lecz nie marszałek, ale żona jego, postrzegłszy niespokojność gości wdychających za tureckim dymkiem, pierwsza dała hasło: —Panowie po kawie pewnie tęsknicie za łulką; nieróbcie sobie ceremonii, bardzo proszę, bardzo proszę!....

I w mgnieniu oka wynieśli się z salonu, jak wymiotti, i w mgnieniu oka, każdy jak Jowisz siedział w swoim obłoku. Zaraz i pogadanka ożywiona dykteryjkami, anegdotami, swobodna, niekiedy dowcipna, częściciē rozpustna, najczęściciē płaska oblatywała całe koło. Nicibyś nieschwycił, bo to było istne *de omnibus rebus et nonnullis aliis*. Między innemi, sędzia dowodził, że każdy ekonom musi być złodziejem. Na to Wacław: —Prawda, są to ludzie zdemoralizowani, lecz wino szlachty, która ich źle wynagradza i traktuje; podług mnie, dobry ekonom mógłby najdzielniciēj wpływać...

—Co ekonom? wpływać? nasz wrodzony wróg? huknęło kilkanaście głosów.

Znowu propinator rozpowiadał jak sztucznych sposobów używa do propagandy gorzateczanēj...

—Ach nieszczęśny trunek! pochwyci Wacław, sądząc, że rozmowę skieruje do swego celu. Zdaje się, że wyrabiając tę truciznę, sami zabijamy siłę, która nas kiedyś ma wskrzesić...

—Kto tu ma co przeciw gorzałce?! krzyknęto. Chłopy zdechł, gdyby niepił, a my poumieralibyśmy z głodu. gdyby nie ten jedyny sposób spieniężenia produktów! Gorzałka, to jedyny rewolucyjny środek!

Darmo! argumenta szumiły jak wezbrana woda, nie pomogły wszystkie zastawki Wacława. Zagłuszony głosem kilkunastu wiejskich, poranionych praktycznemi sofistykami, zrejterował do swojego kąta; lecz marszałek postrzegłszy tego rycerza smutnēj postaci wystąpił z powagą: —Mości panowie! zapominały naszēj misji; do rzeczy, do rzeczy! Wacławie przedłóż nam projekt, podaj sposoby, a dla ojczyzny wszystko!

—Sposoby najłatwiejsze, projekt najprostszy, mówił wezwany. Potrzeba tylko w jednēj myśli się zjednoczyć, a tą myślą jest wiara silna w odrodzenie Polski, przez powołanie do życia politycznego i nadania własności gruntowēj...

—Jasnie panie! trzy zające w kapuście!... zawołał kuchcik wpadając do pokoju.

—Aż trzy!!! krzyknęto zgromadzenie konspiratorów, pędząc jeden przez drugiego.

—Charty! gończe! nabijają strzelby! dalej! żywo! hurra!

I jakby na odgłos dzwonu powstania wysypali się na ogród. Wacław z akademikami sami zostali; z założonemi rękoma, z uśmiecchem szyderyczym patrzył za nimi, i w boleści zawołał: Zróbże co z nimi, kiedy lada fraszka odrywa ich od najświętszego przedsięwzięcia!

Po godzinnej nganianiu myśliwi wrócili, niosąc trzy koty, spore marczaki. Tu dopiero wszczęły się opowiadania o zawołanych łowach, sławnych psiarniach, nieporównanych strzelcach... Lecz marszałek, niby marszałek sejmiku, postrzegłszy Wacława nudzącego się na śmierć, krzyknął: Do porządku panowie! Przeklęta żyłka myśliwska nie dała nam dosłuchać tak pięknej materji. Mów, mów Wacławie, słuchamy!

Wacław ze skrzywioną twarzą, cienkim głosem znowu zaczął swoją propagandę, lecz z ciągiem przedmiotu ożywił się, chwalił patryotyzm, wykazując oraz jego niedostateczność; bo niedość mieć byt, ale potrzeba uczynić go trwałym na drodze postępu. Zrzeczenie się praw czyli nadużyć waszych, dodał w końcu, na tę część ludności jęczącej dotąd pod obuchem podwójnēj tyranii! Jedno słowo puszczone wzdłuż i szerz Polski: jesteście wolni, darujęm wam...

—Herbata! oznajmił lokaj, wnosząc ogromną tacę ze szklanekami.

—Herbata! powtórzone chórem i rzucono się do szklanek.

Gdy kolęj obeszła, a każdy popijał, Wacław postanowił ostatniego próbować sposobu.

—Pojmuję, mówił, wasze stosunki, wasze nałogi, bodaj nie brak charakteru, bronią wam działać na konspiracyjnej drodze. Dopomóżcie przynajmniej drugim, co niemając waszych dostatków, poświęca pracę, życie poświęca dla dobrej sprawy. Róbcie składki, na broń, na książki, na więźniów ubogich, na przesładowanych... jednego z pomiędzy siebie obierzcie kasyerem.... Panowie! zróbiecież dzisiaj początek?...

—O z całą duszą!

—Ja dam co mogę.

—I ja, choć jak krytyczne czasy!

—Choć jaka trudna sprzedaż.

—A jakie wyderkafy!

—Rewolucya nas zrujnowała!

—Mnie żona śmiertelnie chora!

—Mnie proces zniszczył....

Tymczasem hrabia, siedząc przy zielonym stoliku, znalazł pod ręką karty, i ciągnął sobie pasijansa; a po pasijansie, od niechęcenia, rzucał to w prawo to w lewo. Major, co obok słuchał gorliwie propagandy, także niechęć posunął jakoś rękę do kieszeni i.... wyjął rubla. Na ołtarz ojczyzny? Nie!

—As! szepnął. Czy idzie?...

—Idzie... Wygrałem!...

Major gniewny, że niechęć rubelka puścił:

—Król! Dwa ruble!

—Wygrałem.

Obecni poczuwszy brzęk monety, krzyknęli:

—Brawo! hrabia bankczek zakłada!...
 —Kto co stawia?
 —Ja banko!
 —Banko?
 —Wygrałem!
 —Przegrałem!!!

I konspiratorowie, jak mrówki do cukru, zbiegli się w jedną knpkę. Po krótkich abugach, kiedy ochciwość wznieciła zpał, każdy z tych zrujnowanych przez rewolucję, przez procesa, przez chorobę żony, przez ciężkie czasy, ni zład ni zowad, siedział nad kupką złota lub srebra...

—Spodziewam się, rzeknie Wacław, że teraz nikt się już niewymówi od ofiary... Panie marszałku nacieraj!...

I marszałek pierwszy rzucił na tacę parę rubli...

—O, z wygraną niedam ani szeląga, woła sędzia, choć to przesąd karciarski... jednakże!...

—Ja przegrany tępem bardziej niemogę... Banko król!

—Poskończonej grze ofiaruję cały zysk, lecz teraz... kenz-lewa.

—Niemogę! niemogę! Pół banku do asa!

Akademik, skromne, niezepsute dziecko, żałośnie poglądał, stojąc opodal, na tę scenę, a przybliżywszy się do Wacława: —Oto kilka dukatów danych mi przez dziadka na zbytkowe potrzeby, przyjmij ten grosz wdowi...

W całą odpowiedź emisaryusz ścisnął go za rękę, wskazał tacę, i młodzieniec rzucił złoto...

—Gruba stawka, zawołał bankier, na jakąż kartę poniterujesz? Akademik wzgardliwie spojrzał, i rzekł obracając się do Wacława: —Tu nie nie zrobisz; ale ja zaum prostę, nieskalane dusze; chodźmy ku nim, a perły twoje niepadną przed bydlęta.

SCENA Z DYPLMATYCZNO-SENTYMENTALNEJ PODRÓŻY.

Gdzie wiele przygotowań tam nie z dyalogu.

KRASIŃSKI.

Przypominacie sobie zapewne ową przejazdową arcyksięcia Ferdynanda d'Este, odbytą w maju roku przeszłego dla widzenia się z Mikołajem w Warszawie. Jedni utrzymują, że to była wizyta czysto dyplmatyczna, drudzy, że nieczysto, inni na koniec, że sentymentalna; albowiem arcyksiążę, jak kochanek, co zwiedza miejsca pierwszych wyznań miłości, chciał na stare swe lata zwiedzić pola Raszyń, Grochowa, Góry, te żywe świadki dzieł jego rycerskich za młodu.

Ale co nam do tego, za jakimi uczuciami arcyksiążęce gonilo serce. Spójrzmy lepiej na gościeniec prowadzący ze Lwowa do Żółtki; jaka kurzawa! jaki ruch niezwykajny! czy gdzie odpust w pobliżu? czy rabin z Berdyczowa przejeżdża? czy... nieśmiem wyznać... może rewolucja?!

Odpust! rabin! rewolucja! Nic z tego wszystkiego.

Przecież coś to być musi. Tych kilkaset chłopów, mieszczan i Żydów, jedni konuo, drudzy pieszo, uszykowanych po obu stronach gościńca: wszyscy w świeżych sukniach. Ino, co znaczy ta bledź na twarzach chłopków, ta niemoc, że się tak chwieją na nogach? czy już wypili kilka beczek piwa i gorzałki? czy może pogrzeb jakiego obywatela, co był dobroczyńcą całej okolicy?

O! tacy tu nieumierają, bo ich niema; a wreszcie to coś nosi pozór urzędowości: widzę cesarskie czarne z złotem czapki, widzę kije pilnujące porządku. O! to jakieś święto austriacko-narodowe. Stucham! coś gwarzą:

—Oj kumie! już trzy dni jak nas tu spędzili, i od trzech dni nic nie miałem w gębę, prócz kawałka suchego chleba, com go zabrał żonie i dzieciom.

—Moje robaki także gdzieś schną z głodu; ciężki przednowek!

—Dla jednego szwaba morzyć nas głodem!

—A bodaj niedoczekal!...

—Still chamy! zagrzmiął głos beamtera zbrojnego kijem, kiedy ja krzyknem *fifat!* to i wy *fifat!*, bo *finf und zwanzig* będzie w robocie.

Wtém przez rozstawione czaty dolatn je wieść: —*Er kommt, er kommt!*

Tu następuje wielkie zamieszanie porządku robionego kijmi. Tuman kurzawy wzbija się pod obłoki: to pędzi jazda, złożona z chłopów głodnych na wygodniakach koniach; za nią sadzą na rumakach: krejshauptman, krejskomisary, kilku oficerów z załogi i kilku obywateli obwođu, a dopiero pokazują się czerwone kurtki pocztylionów i powozy arcyksiążęce.

—*Fifat!* ruft *fifat!*

—Wiwat! krzyknęło żałośliwie chłopstwo, i w tęp okrzyki dolatywały inne: Piwa!... Bieda!...

—Arcyksiążęca Mość w przejeździe niekłaniał się nawet, ale spluwał, i oczy wycierał, i kichał...

W gmachu krejsamtowym czeka wspaniale zastawny stół na przyjęcie dostojnego gościa. Lecz... dostojny gość niera-czy nawet wysiadać z powozu; —przepiegają konie.

Krejshauptman i dwaj zacni obywatele, którychto kosztem przygotowano tę ucztę, klękają, zaklinają, że się wyborne potrawy w niwecz ohrócą! może kawy?.. kieliszek likieru?... porcję hełszyku?... Serce arcyksięcia a raczej apetyt głuchy na wszystko. Pojechał!...

Arcyksiążę natykał się kurzu!

Myślicie, że na tęp koniec? O nie! za powrotem arcyksięcia nieszczęśliwy krejshauptman i nieszczęśliwi przywiązani do rządu dwaj obywatele chcieli powetować pierwszego niepowodzenia tryumfem, co miał wszystko naprawić.

Jakżeż tu powitać, aby niebyło kurzu, ani chłopów, ani wrzaskliwego wiwat? Przyjazd miał nastąpić wieczorem.

Wieczorem?... szczętina myśl! Transparent, brama tryn-falna; arcyksiążę wraca z pola swoich tryumfów, i teraz może z Mikołajem odnieść tryumf w dyplomacji.

Wszyscy z oklaskami przyjęli ten pomysł natchniony prawie od boga. Brama piorunem stanęła. A jakie godła! jakie cyfry, symbole! jaki ogromny czarny orzeł!

Gońce, rozstawieni gościńcem od Warszawy, co chwila donoszą o zbliżaniu się dostojnej osoby.

Cała urzędnicza rzesza z dumą pogląda na bramę tryum-falną, która wkrótce jej tryumf zapewni... a lzy arcyksięcia wycisnie wdzięczności.

Śłońce już zachodzi; przyjazny mrok otula ziemię.

Oto ostatni przybiega gońiec.

—Zapalać lampy! Arcyksiążę niedaleko.

Za kilka chwil gorzał cały transparent.

Wszystko wlepia oczy w to dzieło mistrzowskie malarstwa i poezji; wymierzono lornety, perspektywy, okulary.

O Herr Gott! Gdzież cyfra arcyksiążęcia?!

Znikła! a natomiast pokazały się dwa wiersze:

OD OSTATNIEJ REJSTERADY
 NIEBYŁO WIĘKSZEJ PARADY!

Jak kiedy oddział woltjerów przypuszcza rozpaczny szturm na mur twierdzy, tak cały ten tłum beamterów i beamterek, na odgłos zbliżającej się trąbki pocztowej, rzucił się na to dzieło swęj wierności.

Nigdy jezuici zacy za dawnych czasów nierozrywali tak prędko szkoły żydowskiej, jak ta brama runęła.

Arcyksiążę poomacku wjechał; rozpaczające, żałośnie wi-wat powitało go.

A krejshauptman, załamując ręce, mówił do owych dwóch obywateli: *Verfluchte Polen!* to pewnie ich figiel.

POKLONY

KOMITETU OGÓŁU LONDŃSKIEGO

WYBITE PRZED OBLICZNOŚCIĄ DUKA SUSSEX.

KROTOCHWILA W JEDNÉJ SCENIE.

(Sala audyencyonalna). PRZES KOMITETU I JEDEN Z CZŁON-KÓW (oba en grand gala).

PRZES KOMITETU (rzucając obłąkane spojrzenia). Jestem ja, czy nie jestem?...

CZŁONEK. O i dobrze jesteś prezesie. Moja figurka jak atom znikła przy twoim brzuchu.

PREZES. Ale gdzie jestem? nie senze to? uszczypnij mię...
(szczypiąc). A co?...
PREZES. Lepiej... bo jeszcze nie wiem...

CZŁONEK. A teraz? spodziewam się przecie, że przestałeś być skeptikiem...

PREZES. Dziękuję ci... O nieba! co ja widzę! przypokój królewski! a my?... a ja?... reprezentanci narodu, tłumacze uczuć, ludzie polityki! aj! aj!...

CZŁONEK. Wielki krok dyplomatyczny!...

PREZES. Z księciem krwi mówić! ho!... to coś delikatniejszego jak tłuc Moskali pod Stoczkiem.

CZŁONEK. Tu słówko decyduje o losie Polski.

PREZES. Śmiały się, żeby mi też słów zabrakło! Czemu też ten mój adjutant nieprzybywa; jeżeli bym się zaciął, onby podpowiedział... Ale nieprawdaz, że nie miał politykę wykluczyć tego koleżkę, co głowę nosi tylko od parady?

CZŁONEK. Mądrześ prezesie postąpił, widać, że do dyplomacji nabierasz z każdym dniem gustu.

PREZES. Rzemiosło orężne niewdzięczne... Ale gdzie mój adjutant?

CZŁONEK. Wyplatałby nam figla. Piękna deputacja bez kompletu!

PREZES. Adjutant! o boże! mój adjutant! mój...

MISTRZ CEREMONII (oznajmując). Duk Sussex!

PREZES. Kolego! podeprzyj, bo się zwalę jak długi... Du... Du!.....

CZŁONEK. Zaczniemy od pokłonu.

(Kłaniają się, bijąc czołem o ziemię).

PREZES. Jasnie oświecony... najjaśniejszy... naj... Dukn... Du... ni... nie... Sussezie... W imieniu ogółu, my prezes i członkowie komi... komieczni... komitetowi... składamy czołobitność...

CZŁONEK. Pokłon prezesie.

(Oba padają na twarz).

SUSSEX. Niefatygujcie się zacny staruszk, twoja korpulencja może cię wymówić od tak dobitnego tłumaczenia uczuć.

PREZES. Ach! jasnie oświecony Du... Dukn. Wdzięczność na zawsze...

SUSSEX. Miłe mi to oświadczenie. Niewygasnie ono nigdy z mojej pamięci, która jest skarbnicą wielu wspomnień dotyczących się Polski. W roku 1792, oglądając wojsko pruskie w Coblenz, nasłuchiwałem się niemało, jak tam szachrowali o Polskę, ale dalibóg, niemogłem nic poradzić. Poźniej w Rzymie, grałem w wiska z kilku Polakami. Ale interes, jaki sprawa Polski wzbudziła we mnie, powiększył się najbardziej, gdy się poznał z księciem Czartoryskim. To mi to człowiek!?... Co za łeb dyplomatyczny!... Co za ukladność w traktowaniu wielkich kwestyj politycznych!... Na honor! Niemógł car Alexander lepszego sobie dobrać ministra.... Dobrze do nich przystaje wasze polskie przysłowie: *Wart Pac pałaca a pałac Paca*. Szanujcież go!... Wszystkie niepodległe dusze... Czy rozumiecie?... dusze książąt i królów zachwycają się wielkimi ofiary, jakie ten mąż, pełen dostojęństw i pan ogromnych włości, poniósł dla ojczyzny... Szanujcie go, powtarzam, i uważajcie w nim przyszły zarodek Polski. Inaczej powiem, żeście *głupim narodem*.

PREZES I CZŁONEK (razem). Ach! szanujemy!

(Biją pokłony).

SUSSEX. Ze wszystkich manifestacji waszych postrzegam, że chcielibyście wrócić do kraju. Piękna chęć... bo i nam umniejszycie kosztu... Lecz abyście wrócili, potrzeba się zjednoczyć.

PREZES (biorąc członka za rękę). Już zaczynamy!

SUSSEX. Dobrze! Potem wara myśleć o polityce. Siedzieć w kącie, i czekać. Z księciem Adamem nieodręczyć kotów. Na Mikołaja niepisać. Emisaryszów nieposyłać. (Pokłony). Wszakże wasze powstanie niebyło rewolucją?...
PREZES I CZŁONEK (z pokłonem). Jak się Jego-książęcej-kości podoba. Zdaje się, że niebyło.

SUSSEX. Wszakżeście myśleli tylko o obronie swobód konstytucyjnych Polski kongresowój?...
PREZES (z pokłonem). Tak niby...

SUSSEX (groźnie). Co? niby?....

PREZES, (na stronie). Aj! aj!.... Du!.... kolego!.... ratuj!... Tak!.... Jego-książęca-mość ma słuszość.... tylko o kongresowój...

SUSSEX. Owe zaś suy głów szalonych o wywróceniu tronów, o reformie społecznej?!

PREZES I CZŁONEK (bijąc pokłony). A pfe! uchowaj boże!... nam się nigdy uic podobnego nieśni...

SUSSEX. Wasza powolność wzbudza we mnie macierzyńskie uczucia. Żal mi was... Na wygnaniu niemożecie i podjeść do-brze. Zostańcie dziś u mnie na obiadek!... Będzie i hrabia Zamojski, i hrabia Krasiński... tylko proszę was zachować się przyzwoicie...

PREZES I CZŁONEK. Wiwat Duk!... wiwat!...

(Zacierają ręce i skaczą. Adjutant prezesa wchodzi).

SUSSEX. A to co za jeden?...

PREZES. To komplet Mości Duku!...

SUSSEX. No, jeszcze jedno, a będzie kwita... (Zbliża się i kiwa palcem pod nos komitetowemu) będzie to dla was nauczka... Ty stary... i wy młodzi... pilnujcie swoich braci, aby niewtykali nosa do spraw buntowników angielskich, bo *God-dam!*... (odchodzi grożąc).

PREZES I CZŁONEK (dobijając resztę pokłonów). Znajdziesz nas do śmierci powolnych.

PREZES. Zwycięstwo!...

CZŁONEK. Oto nam się udało!...

ADJUTANT. Ależ ta mina groźna księcia?... nierozumiem...

CZŁONEK. Ha!... *tarde venientibus ossa*. Sprawa nasza tryumf odniosła. Ale prezesie! otrzyj sobie kolana.

PREZES. Niech tak zostanie... bądźto miła dyplomatyczna pamiątka... A tobie, cożto za guz na czoło wyskoczył?

CZŁONEK. To dyplomatyczna wypukłość.

PREZES. I jam nie źle wybijał. Ale bo też książę prześcignie mój. Załuj adjutancie!

ADJUTANT. Cóż przecie?...
CZŁONEK. } Rzucił wielkie pomysły do naszego zbawienia.
PREZES. } Zaprosił nas na obiadek.

ADJUTANT. Na obiadek? Ach! mam też za trzech apetyt.

PREZES I CZŁONEK. Figa!... Niebiłeś pokłonów, niemasz prawa do tak wielkiego zaszczytu.

ADJUTANT. Jaki?... wszakżeż i mnie pod nos palcem nakławał...

PREZES. To mało. Patrz na moje kolana!...

CZŁONEK. Patrz na moje czoło!...

ADJUTANT. Ależ ja należę do kompletu!... samiście mi kazali zastąpić...

PREZES. Milczałbyś lepiej!... jam tylko twojej głowy potrzebował... (klepiąc się po brzuchu). Brzucha mi pan bóg przecie nieodmówił.

DO MINISTRA PEWNEGO.

Pod tym tytułem wydrukował Karol MANEBIT VICTORIA *Sienkiewicz* w SKARBCE HISTORII POLSKIEJ, wiersz do J. O. Adama księcia Czartoryskiego napisany, z powodu wejścia jego do służby moskiewskiej, w stopniu ministra; a że p. Karol wiersz ten troszkę sfałszował, umieszczamy go więc w piśmie naszym podług oryginału spisane własną ręką autora, który się w naszych pszonkoskich archiwach znajduje, a za którego autentyczność ręczymy.

Ministrze! nim tej nieczci piorun cię uderzy,
Którym padł Radziejowski zdradca, podkancelerzy;
Nim cię czas, kryciem zbrodni długim przesilony,
Całkowicie ukaże zdradę z pod zastony;
Nim was kupejących krajem i braćmi, handlarze!
Wypędzeniem z kościoła ojczyzny lud skarże;
Póty jeszcze... i mojej sekret wódz niechęci;
Póty milezę, od klucza czyś jest od pieczęci.
Nadto, żebyś tém trudniej mógł zostać trafiony,

Niepówiem, skąd ród wieszysz, z Litwy czy z Korony?...
Bo ten cel pióra mego, żebyś, nim kto inny
Sądzić cię zacznie, sam się osądził, żeś winny.
Z imienia, i z krwi znanej w Rzeczypospolitej,
Bogactwy i tytuły przodków znakomity,
Żadną i w żadnym względzie nieciśnion potrzebą,
Mając to, co dodać tylko może ludziom niebo,
Pytam: jaki zawistny wróg twego sumienia,
Pana z panów, bogacza, skłonił do służenia?
Komuż jeszcze?... i przeciw komu?... mówić zgroza!
Oto hordzie, dziś ledwie wolnej od powroza,
Oto przeciw ojczyźnie, która cię zaklina,
Żebyś z obcego sługi powrócił jęj syna,
Żebyś braci niekałał, niesmucił przyjaciół,
Lub żebyś zdrań nieprzeżył, jeżeli się zaciął.

JAKA MARCINKOWSKI.

PODRÓŻ NA SYBIR.

Byłoto w początkach roku 1836, w Krakowie, na przyjacielskiej schadzce, przy pogadance pełnej patriotycznego zapału. Jeden z tego koła młodzieży siedział milczący i zamyślony, jakby się do nich nie liczył.—Gustawie! wołano, czy cię nudzą nasze rozmowy?... Odpowiedziało tylko oko młodzieńca, ale takim spojrzeniem, że każdy się zarumienił, jakby sobie wyrzucał to zapytanie.—Dajcie mu pokój! ozwie się jeden, to poeta! buja gdzieś po siódmém niebie, kiedy my chodzimy po ziemi.—Tak! poeta! odpowie jakby zbudzony Gustaw, jam poeta, mam sen, przeczucie, widzę....—Co widzisz?...—Śmiejecie się z mego napadu.... widzę siebie.... długie męki.... daleką podróż.... podgrobné życie... Humorystyczna scena!...—Jesteś w zapale, improwizuj, wołali koledzy... I on, zasłoniwszy oczy rękoma, wypowiedział wiersze, które przytaczamy poniżej.

W boskiej chwili wieszczego natchnienia odgadł swoją przyszłość. Lat trzy niewyszło, a *Gazeta-Rządowa-Warszawska* taki umieściła wyrok: *Na pozabawienie wszelkich praw stanu, odestanie do ciężkich robót w Syberyi bez zakreslenia czasu i na konfiskatę majątku: GUSTAW EHRENBURG, jako założyciel tajnego demokratycznego towarzystwa, i gorliwy zasad onego rozszerzyciel.*

Siadł zwojszczyk na przodzie, koń dzwonkiem zadzwonił,
Kibitka leciała, jakby wiatr ją gonił,
I Moskwy szerokie mijała ulice
Kacapy z brodami, rozdziawiwszy gęby,
"To Polak buntowszczyk!" mruzczeni przez zęby,
I na mnie zgłupiałe zwracali żręcnice.

I ledwie czasami dziewczica z uboczy
To na mnie nieśmiało podnosiła oczy,
To znowu je na dół spuszczała w milczeniu.
I ledwie czasami żałośnie a dumnie,
Młodzieniec przechodząc zwracał wzrok swój ku mnie,
A wiele słów było w tém jednym spojrzeniu.

Jam siedział rozparty w kibitce wspaniale,
Kapelusz na bakier wsunąłem niedbale,
I lulkę-kochankę u mych ust zawiesiłem;
Rozsiadłem się lepiej, miejsce zajął szersze,
I takie zacząłem komponować wiersze,
Lecz wprzódym kapelusz jeszcze głębiej wmięsiłem.

Oj jeszcze nie bieda! choć zima tak skrzepla;
Kajdany na nogach?... to tylko dla ciepła,
A ta straż z żołnierzy?... to przeciw złodziejom.
Wszak człowiek powinien czoło nawałnicy
Odważnie nadstawić, a na szubienicy,
Dopiero pod stryczkiem, plunąć w pysk nadziejom.

Oj jeszcze nie bieda! póki lulkę palę,
I póki mi tylko pozwolą Moskale
Ugaszać cierpienia w gęstych kłębów tłumie.
Wszak tylko mil tysiąc, droga niedaleka!
Więc jedźmy! więc jedźmy!... bo co mnie tam czeka,
Tego już mój język powiedzieć nieumie.

Oj jeszcze nie bieda! kraj pełen uroku,
Tam Włochy są z lodu, tam noc trwa półroku,
Tam śliczne dziewice, jak klocki dębowe;
Dusze gorejące zawsze niebezpieczne;
Więc lepsze nam lody i śniegi odwieczne,
I lepsze pałace podziemne, grobowe.

Oj jeszcze nie bieda! kraina to śliczna;
Tam kwitnie szczególnie sztuka dramatyczna;
Tam co dzień tragedje, morderstwa i męki.
Muzyką sybirską miły brzęk łańcucha,
I razy batogów przyjemne dla ucha,
I hurra Kirgizów, i Polaków jęki.

Jam siedział rozparty w kibitce wspaniale,
Kapelusz na bakier wsunąłem niedbale,
I lulkę-kochankę u mych ust zawiesiłem;
Rozsiadłem się lepiej, miejsce zajął szersze,
A kiedy skończyłem komponować wiersze,
Jam na łeb kapelusz jeszcze głębiej wmięsiłem.

NOTYCIKI

KRAJOWE I EMIGRACYJNE.

W księgarni polskiej złożoną została na sprzedaż piękna litografia, wyobrażająca w wizerunkach sławnych ludzi całą przeszłość Polski. Druga, poń względem układu i wykonania pierwszej podobna jest już w robocie, ale przedstawiać będzie samych sławnych mężów z czasów ostatniego powstania, I tak, w górze, obok Chłopickiego będą Lnbecki i Czartoryski; dalej Skrzynecki i Krnkowiecki; poniżej, na kolumnach wspierających wierzchnie ozdoby paradną wojownicy sławni: Giełguć, Jankowski, Chrzanowski i t. d. Uspodu umieścił artysta w esach-floresach modlitwę następującą: «Boże ojczyste! który stworzyłeś człowieka wolnym na obraz i podobieństwo twoje. Boże synu! który poniosłeś śmierć męczeńską na krzyżu za wolność rodu ludzkiego. Boże duchu! który w serce człowieka wlałeś miłość wolności i braterstwa. Święta trójco jedyny boże! zmiłuj się nad cierpiącą ludzkością, i nwoń ją od takich wojowników i mędrców.»

—Są ludzie, którzy nazywają Lelewela *jenitalnym odkopwaczem* narodowej przeszłości. A jeżeli się pokaże, że tenże sam Lelewel rozmyślnie zagrzebuje prawdę, jakże go nazwać? Czy *jenitalnym grabarzem* historii polskiej?... Na stronicy zaś 65 *POLSKI ODRADZAJĄCĄ* się czytamy: «Razu jednego rząd nrzał wchodzącego lekkim krokiem oficera, który oświadczył, że także przystępuje do rewolucji, ale zawsze będzie pamiętał na przysięgę wykonaną Mikołajowi: było pułkownik, którego nazwisko kto wie, niech dopisze.» A dla czego Lelewel-*historyk* nie dopisał, choć wiedział?... Dziwny względ!... Pośpieszamy wyręczyć szanownego odkopwacza-grabarza, i piszemy, z pułkownikiem *questionis* był: JAN SKRZYNECKI.

—Młoda-Polska donosi, że wielu z tych, którzy się zapisali na pięścien dla Stuarta, żeby mu tym sposobem za rozprawy

o przywrócenie Polski *tylko* kongresowej podziękować, dziś się z listy składkowej wymazuje. Dobrze robią! Postrzedz się w błędzie, choćby jak najpóźniej, lepiej jeszcze jak nigdy.

—Nowa-Polska zwraca uwagę, że przed komisją izby deputowanych francuzkich, rozpoznając położenie emigracji polskiej, składali objaśnienia dwaj najszaślejsi jej nieprzyjaciele: Adam książę Czartoryski, który był i jest za rozproszeniem emigracji polskiej, i od której odebrał polityczne wyklęcie; i Ludwik hrabia Plater, który podpisał prośby o zmniejszenie posiłków emigrantom polskim. Niebyłżeto prawdziwy pocałunek Judasza?...

—J. B. Ostrowski zawiodł moje oczekiwanie, mówił X, po tylu latach odpoczynku, wytchnienia, miałem prawo spodziewać się czegoś lepszego. Zapewnie, rzekł Y, przyznać wszakże potrzeba, że naprzódo czasu tego niestracił, bo kiedy *Młoda-Polska* suszyła mózgowicę nad odkryciem, że demokraci pochodzą od diabła, Ostrowski wyszpiegował, że z królem pruskim są w zмовіе.

—*Nowa-Polska* nazywa Tow. Dem. Polskie księżcem, który świeci blaskiem pożyczanym od słońca. Pytanie: kto jest tym słońcem?.. Odpowiedź: niewiadomo, ale pewnie nie *Nowa-Polska*, bo przez parę lat była w pełnym zaćmieniu.

—*Młoda-Polska* niespodziewa się, żeby przy obecnym usposobieniu kraju i emigracji, zmartwychwstałemu *Pszonce* dobrze powodzić się mogło, bo zwykle, kiedy złość tryumfuje, przeciwnik jej cierpi, a teraz właśnie *Młodej-Polsce* dobrze się powodzi!

—W liście z *Havre* do *Pszonki* pisauym znajdujemy następujące wyrazy: «Zapomniałeś obywatelu o nas biedakach w *Hawrze*, bo oto *Młoda-Polska* donosi, że już kilka numerów twoich pamiętników po świecie biega, a my tu aniśmy jednego nieoglądali jeszcze. Niewiemy co tam piszesz, ani z pod jakiej jesteś chorągwi, ale z artykułu, który *Młoda-Polska* o tobie umieściła, jesteśmy pełni przekonania, żeś godzien i miłości, i ciekawości naszej. Przysyłajże nam twoje pamiętniki, i licz nas w rzędzie najszczerzych i dozgonnych przyjaciół twoich.»

—Otoż wracają świetne czasy jezuickie, czasy, kiedy ich kolegija brzmiały szumnemi dyalogi. Dziś, usadowiwszy się pod rządem austriackim, w Tarnopolu, swojej stolicy, wyprawiają trajedyje przez swoich pisane po francuzku; młodzież szkolna je grywa, a widzami są urzędnicy cesarscy i różne prawowierne owieczki. Treść tych trajedyj bywa zawsze bardzo moralna i odpowiednia duchowi czasu. W jednej z nich, pod tytułem *Maurycy*, Achilles rotmistrz legii zbuntowanej strąca z tronu Mauryczego cesarza i pakuje razem z synami do więzienia, a z zięciem i szwagrem cesarskim robi układy o koronę. Następnie Achilles zostaje zdradzony, Maurycy powraca na tron i buntownika nawzajem wsadza do ciupy, gdzie go straszne trapią zgryzoły, nawet samo niebo daje mu uczuć wielkość jego zbrodni za targnięcie się przeciwko monarsze. Łatwo sobie wyobrazić jak biedny Achilles musi stękać, szarpać sobie włosy, drzeć odzienie, nekauy zgryzotami sumienia. Jezuici niczego nieszczędzili do oddania całej okropności jego cierpienia, a prawowierni widzowie poklaskiwali: ach to słiczny przykład dla naszej młodzieży, co dziś szalona rzuca się na drogę zguby, i marzy tylko o swojej ojczyźnie i niepodległości. Dzięki wam ojcowie Jezuici! zachowacie nam synów od zgorzenia.

—W Tarnopolskiem, w domu pewnej szlachcianki, była wielka komisya, z powodu, że trzy torty upiec i wszystkie trzy razem na stole postawić kazala. Aresztowano szlachciankę, torty zaś jako *corpus delicti* odstawiono do Lwowa. Dla czego?... Bo to było podobno dnia trzeciego maja.

—Donieśliśmy, że magnatki lwowskie bardzo się troszczyły o zdrowie młodego *Kriega*; teraz dowiadujemy się, że przed miesiącem rozrzucono po Lwowie karykaturę, przedstawiającą owego chorego na *chaise persée*, gdy tymczasem dostojne panie, bardzo podobnie w rysunku oddane, z troskliwością zaglądają do *pot de chambre*.

—Piszą z Krakowa, że kiedy Haller, prezes Senatu krakow-

skiego, z nrzędu oddalonym został, radość w mieście tak była wielka, jak przed laty po śmierci krakowskiego burmistrza Combra. Cóż-to będzie, gdy Krakowianie zaczną *combrzyć* Hallerów swoich?....

—Jeszcze żaden senat nieodznaczył się tyłu brudami, co dzisiejszy krakowski, mówił ktoś na pewnym zgromadzeniu: —Bo też do żadnego jeszcze z trzech naraz najbrudniejszych mocarstw na ziemi niezuosono śmieci, odpowiedziano. I prawda!... Miał np. senat warszawski swego Krasińskiego, ale miał i Bielińskiego także. Dzisiejszy senat krakowski tak się dobrał, że w nim nawet Krasiński nie dostałby krzesła— dla zbytku cnoty.

—We wszystkich prowincjach zabranęj Polski zakładają a zakładają fabryki cukru; ta cukromanija pochodzi z wielkiej ilości *goryczy*, jaką rządy przywłaszczycieli zasiały po całym kraju...

—W tym roku wino węgierskie zupełnie zaczyna jak szampańskie musować, a nawet wysadza korki, co się tak cesarzowi austriackiemu niepodało, że aż z tego powodu okazał swoje monarsze nieukontentowanie.

—Tegoroczny sejm węgierski przez parę posiedzeń radził, czy wypada oddać pod sąd *stół królewski* czyli sąd najwyższy (tabula regla), który dwóch obywateli skazał Weszelinięgo i Koszuta na trzy lata więzienia, za publiczne powstawanie przeciw nadużyciom rządu austriackiego. Gazeta Frankfurtska, czyniąc to doniesienie, dziwi się, że reprezentanci narodu, tak obfitującego w rozmaite produkty, zamiast radzić o zaprowadzeniu żelaznych kolei lub urządzeniu kanałów, dla ułatwienia komunikacji z innymi krajami Europy, tracą czas na rozprawianie o *takięj bagatel*.

—Cesarz austriacki a król Galicyjsko-Lodomeryjski, który rozpoczął swe panowanie wielkimi krokami reformy, a to zaprowadziwszy w całej armii paulonij odpowiednio duchowi czasu, i osobnym dekretem nadwornym zaręczywszy, iż przy posuwaniu na stopnie wyższe urzędników, wszelkie kosmatości objawiające się w kształcie wąsów i bród szkodzące do awansu niemogą, który nakoniec Zaliwskiego z jego bandą, za chęć buntowania chłopstwa, na Kułstein miłościwie skazać raczył, niewiadomo przez jaką mylną rachubę obłożył produkcję gorzałki ogromnym podatkiem. Szlachta bowiem galicyjska utraciwszy imię narodowe, swobody, byt polityczny, jedyną swoją pociechę i nadzieję czerpała w *kociołku gorzelnianym*. Otoż podobnie, jak w retorcie chemicznej wszelkie ciało w parę, tak w nim patryotyzm, poświęcenie się, honor narodowy, i inne tegoż rodzaju nieujęte części, ulatniały się dla czystej chęci wyciągnięcia groszyka; bo też i potrzeby niema! Skądże wziąć na diabełka, skąd na szale, na mody, na powozy, aby modnie wystąpić na pokojach Kriega i Langeana, lub na sejmie postulatowym, ba, nawet i na najwyższe szczęście zakupienia sobie tytułu hrabiego? ! Niedziw więc, że taka klęska wycisnęła naszej szlachcie... Coż? może oburzenie? Kto słyszał! byłby to krok rewolucyjny, jakiego i przy upadku Polski niebyło!... Coż przecie? Oto najświatlejsze galicyjskie głowy, przeniknione dyplomacją swojego mistrza na emigracji, trzema poszły drogami: jedni zaczęli pisać pokorne remonstracyje do podnóżka tronu; drudzy utworzyli rękę z dozorcami podatku, i okpiwają cesarza i siebie; a trzeci, najśmielsi, konspirują po cichu — zacieraając więcej kadek i częściej niżeli prawo pozwala.

WSPOMNIENIA.

Do wolskich rogatek, żołnierz z 8^o pułku piechoty, przywłókł się z oderwaną paszczką, i położył się przed domem. Zbiegli się ludzie, otoczyli go i litować się nad jego raną zaczęli. Z męską spokojnością rzekł żołnierz: Za fraszkę tę ranę mieć będziecie, jak zobaczycie, co tam przy Woli tego świętego ścierwa (Moskalów) leży.

—W Płocku, wojsko oszukane, kiedy musiało powrócić z drugiego brzegu Wisły, zaczęło szemrać na Rybińskiego. Oficerowie rozmaitych pułków otoczyli Dębińskiego na rynku miasta, i zakliwiali go, aby objął dowództwo i prowadził ich na Moskali: «Niechcę ja być wodzem, odpowiedział Dębiński, obraum przez podporuczników, i pojechał dalej.»

—Po bitwie Ostrołęckiej krążyła po Warszawie taka rycina: Skrzynecki stoi, i jedną ręką wysypuje z rogu obfitości krzyże, szarfy adjutanckie, cisną się do tego jeden przed drugim wymuskani panice — jego adjutanci; — z drugiej strony stoją żołnierze i podoficerowie okryci bliznami, a Skrzynecki odpycha ich drugą ręką.

—Jeżeli z Meternichem przyrzekali polskim panom w 1831 roku pomoc w pieniądzech, jeśliby ci potrafili ugruntować w Polsce zasady absolutyzmu; odmówili pomocy, postrzegłszy niepodobieństwo dokonania tego zamiaru. Czy też niepowtórzo u tej obietnicy naszym katolikom emigracyjnym?...

—Pewien młody Galicyanin, który w czasie powstania zaciągnął się był na oficera do legii nadwiślańskiej, tak w pewnym gronie filozofował nad ostatnią rewolucją naszą: — Że my Galicyanie złączyli się z Polakami, to nie dziw, bo Austriacy buntuje przeciw nam chłopów, ale że Żmudź, Litwa Wołyń i Ukraina powstały, to, na honor, krok do nieusprawiedliwienia. Wszakże tam wolno i sprzedawać, i przegrać w karty, i zrabować, i zabić chłama!

—Pewna dama, dosyć dowcipna, jak zobaczymy, lecz niedość skrypatna w wyborze swoich wizyt ile na dobrą Polkę przystało, znajdowała się pewnego wieczora na balu u haniebnej sławy austriackiego generała Langenana. Znana jest światu nieokrzesaność austriackich wojskowych, mianowicie z pięcią piękną; otóż ów generał, postrzegłszy na piersiach u wspomnionej damy szpilkę z białym orzełkiem polskim, przybliżył się, dotknął palcem, i rzekł (po francuzku): — Cóż to za poczwarkę masz pani? — Poczwary zwykle bywają o dwóch głowach! odpowiedziała.

—Pan B. mówił do pana C. — Prawda, że szkaradne czasy, ale przecie, można się jeszcze ratować. Wódka nieplaci, zboże nieplaci, ale zaasekuruj w towarzystwie ogniomów twoje budynki, a potem morduj chłopów, niech cię podpatka.

—Leśniczy Ch. (w Galicyi), starzec 80 letni, konfederat barski, powiedział komisarzowi austriackiemu Schifnerowi, który go upominał, że daje przytułek emigrantom polskim, w brew mandatom cesarskim: — Z nieszczęśliwym zawsze podzielę kawał chleba, i drzwi mu moich niezamknę, ani się was boję za to, bo mandaty boskie dawniejsze jak mandaty cesarskie.

—Chłopski zawsze mieszka w Krakowie, i zawsze widzieć go tylko można w towarzystwie ludzi bez czci i wiary. Raz otoczony taką czeredą przypatrywał się zaciągowi straży przed sniennicami. Pewien szlachcic ze wsi przybyły postrzegł go, — Wszakże to Chłopski, proszę waszmości, zagadnie stojącego obok rzeźnika. — Ać on! dyktator! odrzeknie zapytany. — A oweż obok niego wymuskałe chłopa, was zawiesisty! pewnie jego adjutanci polowi?!... — A skąd zaś! To Mole, tłukobruki, żaden z nich prochu niewąchał. — A tenże grnbas o krótkim karku, młyna bycza! pewnie jego szef sztabu?!... — Ale skąd znowu!... To Wężyk, pieczeniacz!... niemyśli, tylko o brzuchu. — No, proszę wasci, że też to zawsze, jak jaka rzecz zgalganieje, to się jej zaraz i mole i gadziny imają.

PRZESTRZEŻENIE BRATERSKIE.

Przyjaciel ludu powinien być zarazem przyjacielem prawdy. Tymczasem nasz Leszniańczyk zaczyna coś nie żartem zajmować czytelników prawieniem oklepanych klechd babińcowych. Jeżeli dla różności, to dobrze; ale już czas odmienić przedmiot, albo wrócić do dawnego, jeżeli na nowym zbywa.

Cześć Urzędowa.

PRZYPOMNIENIE ROZPORZĄDZENIA.

W IMIENIU.

44.

it.d. it.d. it.d.

MY

POLICMAJSTER BABIŃSKI,

Wszem wobec i każdemu, komu o tem wiedzieć należy, czynny wiadomo, co następuje:

Zważywszy, że od czasu jakiegoś po rozmaitych pismach babińskich, ba, nawet w *Młodej Polsce*, dają się napotykać wyrażenia sprzeczne zasadom, jakie J. K. Mość, najmiłościwszy nasz pan i samodzielnca najtęskawiej narodowi swojemu do wyznawania podał, uznaliśmy za stosowne i dla dobra poddanych J. K. Mości nader korzystne, przypomnieć najmiłościwszego J. K. Mości z roku 1833 rozporządzenie, w treści: że każdy, kto by się na przyszłość podobnego nadużycia dopuścił, straci za pierwszą razą wszelkie babińskie wsparcie, a za drugą za granice babińskiego państwa wywiezionym zostanie; kn czemn wysokie a jednak niepodważane stosunki J. K. Mości potrzebnego dostarczają ułatwienia.

(Podpisy jak zwykle).

LITERATURA.

Trzy struny, poezye Seweryna Goszczynskiego, oddział 1839 w Strazburgu, 1839 roku.

Pod tym napisem czytająca publiczność otrzymuje nowe plody liryczne, tego wieszca, znanego już ze śpiewu i czynu. Zbiór ten, podzielony jest na trzy oddziały, w miarę epok, jakie dusza przedrewolucyjnego konspiratora, rewolucyjnego żołnierza, a w końcu tułacza na własnej ziemi, z wiarą w sereu, a prawdami w ustach, przeżyła... Sato, że tak powiem, uczucia, wrażenia, nadzieje, sny, cierpienia, nie entuzjasty, nie skeptyka lub sentymentalisty, co przesycony rzeczywistym światem, podróżuje po kraju fantazyi, i kłamie wymarzonemi cierpieniami, lub swoim indywidualizmem niemilosiernie zatrudnia czytelnika — tego nieznajdziesz w Goszczynskim: rzucany niezmysłonemi wypadki, wśród konspiracyjnych nocy, wśród niebezpieczeństw pogoni, wśród szczęku oręza pisał... Myśl jego wyrobiła wszystkie niemal kwestye polityczne, przeniknęła się miłością ludową Polski — ale duch poetyczny odlat to w sobie właściwej formie. a tem samem tak nową, tak nieprzypadającą do miary ze znanymi, że owi *ultra*, co by radzi w nim widzieć, potępiwszy już Mickiewicza (!!) wieszca pojęć masowych w przecięciu, wieszca, co bierze natchnienie z gazety za najwyższy punkt swego Parnasu, niemało się zawiodą... Bo zaiste, coz opłakańszczego byłoby nad ową literaturę, któraby powiedziała sobie: będę zwierciadłem życia narodowego, a nigdy czemś więcej! Kto idzie w równi z codziennem pojęciem mas, ten nigdy ich niepodniesie. Wieszca rzuca w świat myśl wielką, często pod mglistą szatą tajemniczości, często w tak olbrzymim kształcie, że aż potrzeba tysiąca innych pisarków, aby po kawałku zdarli ową zasłonę, skarłowacili olbrzyma, i za codzienną strawę dali ludowi...

ODPRAWA POSŁA, przez Leona Zienkowicza. Wydanie drugie, pomnożone przypisami, w Strazburgu, 1839 roku.

Przed parą laty, zjawily się w kraju dwie broszurki: *Poselstwo z ziemi ucisku* i *Odprawa Posła*; chciwie je czytano i porównywano a taki był głos w powszechności: «falszwy to posel. co tak źle myśli nasze tłumaczy, a cześć niech będzie tułaczowi. co mu dał dobrą odprawę, co pojął i swoje i nasze stanowisko.» Zaiste niemożna było bez odpowiedzi zostawić ty-

le fałszów w *Poselstwie*, i dobitniej a szczerzej odpowiedzieć na nie w *Odprawie*; bo i ta prostota ewangeliczna, w którą autor *Poselstwa* starał się ubrać spruchniałe swoje pomysły, jest prostszą, więcej do serc trafiającą, kiedy w duchu ludu, nie zaś możliwych przemawia. Powtórne wydanie *Odprawy Posła*, pomnożone jest wieloma uwagami rozwijającymi główne myśli textu, z których parę przytaczamy wyjątków.

Text: «A oświecając się i nauczając się społeczeństwem, przestrzegajmy nade wszystko fałszywych proroków i nauczycieli.»

«Bo oto wykonało się, jako powiedziano jest, że bracia braciom pod postacią chleba rozdawali truciznę.»

Objaśnienie.

Nie było dotąd czasu, w którymby tak wiele pism pojawiło się za i przeciw wolności ludu polskiego, jak teraz; dlatego więc teraz, bardziej niżeli kiedykolwiek, ludzie sumienni baczyć i przestrzegać powinni, ażeby bracia braciom pod postacią chleba nierozdawali trucizny. Tak np. czasopisy emigracyjne, z dawniejszych: *Kraj i Emigracja*, *Rocznik*, *Wiadomości*, *Le Polonais*, z obecnie wychodzących: *Kronika i Młoda-Polska*, już tęp samem, że są przez tułaczów i na tułactwie pisane, że przeciw najeźdźcom, przeciw zewnętrznym wrogom Polski gadają, że o miłości ojczyzny, o wierze, o narodowości, słodkich słówek nieskąpią, zdają się dawać ręką mię czystych, prawych zamiarów, a tym czasem ileż tam brudów, niesprawiedliwości, szkaradzeństw, ile egoizmu, osobistego interesu, przechwałek, zdrad, szalbierstw, podstępów, a wszystko tak starannie pokostem publicznego dobra powłoczono, że pocziwy a łatwowierny ani się spostrzeże, że mu zamiast chleba podstawiano truciznę. Trzeba więc koniecznie wzajemnego przestrzegania się, trzeba odslonięcia, odkrycia, czyli przedstawienia wszystkiego tak jak jest, a nie zaś jak się z pozoru, z powierzchowności, z połowki wydawać może. Przyszłoby zaiste czas tak ciężki na Polskę, że lepiej Polakowi przystępować do czytania dzieł polskich z uprzedzeniem, iż złą w sobie mieścią mocną naukę, aniżeli się im z zupełną powierzyć ufnością. Prawią ci o narodowości, o wierze, o postępie, o wolności i równości, oszukują często brzmieniem wyrazów, bo rozpatrz się tylko w słowach, alieści postrzeżesz, że *narodowością* u nich są dawne śmiešności i nadużycia szlachty, a *wiarą* bicie czołem przed przywileistami, a *postępem* zwrot przeszłości szlacheckiej, a *wolnością* i *równością* ludu polskiego, nędzne, nie nieznaczące ulepszenie, jakoby, jak słusznie powiedziano, ulepszenie owiec i koni, ku korzyści ich właściciela.

Text: «Droga prosta i pewna, a oto jedni na prawo, a drudzy na lewo, w błędne manowce i w kręte zapuszcza się ścieżki, jak gdyby wiary niemieli, że droga najprostsza, zarazem i najbliższa jest.

Objaśnienie.

Ludzie w zły i w dohręj myśli, dla złych i dla dohrzych celów szukając sposobów i środków, niemogą być wszyscy na jednej drodze, i jest to tak proste następstwo, jak jest prosta jego przyczyna, czyli myśl celów. Co się rzekło o ludziach w ogólności, stosuje się w szczególności do tułactwa polskiego. Tułacz polski stojąc na ziemi francuzkiej znaleźli się w położeniu owego człowieka, który w głębi ogromnej a nieznanej sobie zabłąkał się puszczy, radny z niej wyrwać, radby wrócić do domu, do swoich, rzucił się więc na różne strony, na różne ścieżki, manowce, rzadzinny, lecz biada jemu, jeżeli błędem uwiedzie się światłem, albo napotka żółców i za przewodników ich weźmie. Zbłąkaliśmy się zaiste w puszczy, i w nieznanej, w obcej nam hardzo. Błąkając się po niej, już nie od wczora niestety! poznaliśmy zaprawdę kilka ostępów, ale wyrwać niemożemy jeszcze, bo znaleźli się ludzie, którzy jak światła zwoźnicze hałamuca nas, i znaleźli się żółcy, których ci i owi z nas za przewodników sobie ohrali. Światła zwoźnicze tułactwa polskiego, sąto ponętne a fałszywe nauki. Żółcy zaś tułactwa polskiego są dwójakiego rodzaju: żółcy czyli rozbójnicy otwarci, którzy swoje ofiary po staremu, wprost do celu, do zguby prowadzą, lub na podobnych sobie rozbójników przyjmują, a takimi są wszyscy arystokraci, i Jezuiti, papiści czyli quasi katolicy tułactwa, i żółcy—dialby czyli szatany, którzy nihi pięknym, szerokim, bitym prowadzą cię gościńcem, i zdaje ci się, że suchą nogą po suchej stąpasz ziemi, a ty grzędniesz w błocie po uszy, a takimi są nowatorowie, którzy wszystkim wszystko niby dając, nie rzeczywście niedają, i którzy tobie człowiekowi ziemskiemu, chcą wmówić, żeś duch, anioł, sylf,

strygoń, a ziemia, po której chodzisz, to księżyc, niebios, elizeum, olimp. O pierwszych niema co mówić, zna ich każdy, strzeże się ich, a gdy go przypadkiem napadną, walczą z nimi, lub się z nimi zgodziwszy na rozbójnika przystaje; drudzy są ludźmi chwilowości, zwolennikami lada nowości, lada mody, wietrzniakami, motylami tułactwa, a o których Rej mówi: «Aby dziesięć krajów na dzień wymyślił, tedy każdy chwala. Będzie suknia z długim kołnierzem aż do pasa, to powiadają, iż tak czyście (pięknie), chłop ozdochny, od wiatru się zastłoni, kiedy trzeba, i kijem we grzbiet nie tak bardzo puknie. Będzie zaś druga, co kołnierza niechędzie u niej, a przedsię też tak czyście, wolno mi się obejrzeć, kiedy chcę, i jako chcę, a przedsię mię kołnierz w szyję niekasa. Będzie druga z długimi rękawami, a czasem i ze trzemi, też tak powiadają czyście, chłop znaczny na koniu kiedy rękawy około niego trzpiatają. Ja wierzę, by kto położywszy rogi na łch włożył, tedy powiedzą, iż i tak czyście, ho wszystko czyście, by się jedno to dziś pojawiło, czego wczora niewidzieli.»

PAMIĘTNIKI SOPLIICY, Paryż, 1839, (wydane bezimiennie). Jest to pięć powieści z czasów Konfederacji Barskiej. Z nadzwyczajnej prostoty stylu, z wielkiej znajomości czasu i charakterów, ze zgłębienia ducha ogrzewającego ową epokę, wnoszą wypada, że są płodem niepospolitego pisarza. Dodajmy to jeszcze, że jeżeli w pamiętnikach Paska zachwyciła nas prawda wieku i humoryzm rubaszny, tedy w powieściach Soplicy do tych samych zalet łączą się artystowskie wykończenie. Pisma czasowe zapowiedziały drugi tomik, który, aby rzucił cokolwiek swej rosy i woni na suchość codziennej polemiki, i przypomniał, że obok tylu socyalnych kwestyj, literatura ojczyzny także jest kwestyą, przez którą może najwyżej dziś żyjemy. Jako próbkę stylu dziełka tego dajemy wyjątek z powieści, pod tytułem *Kazanie księdza Marka*, w którym ten kaznodzieja tak prawi o sposobie, jak panowie kochają ojczyznę.

«Marku! powiedział mi anioł, że się dzieje z ojczyzną twoją. Nierząd ją zgubi. Wszyscy pragną rządu, a żaden z pocziwych rządów niechce. Król Sas, którego wszyscy kochają, a nikt mu niepomaga, lada dzień zamieni koronę doezną za wieczną, i będzie to, co jest; rząd leży na ziemi, a nikt się schylić niechce, aby go podjął. Pod różnymi postaciami do wszystkich waszych panów udawałem się, zawsze ta sama odpowiedź: przebrzydłe domatorstwo, nałogowe lenistwo. Byłem u Radziwiłła wojewody wileńskiego; mówilem, błagałem; jedź do Warszawy! zajmij się rządem! cała Litwa twoja! ratuj ojczyznę!... Aż płakał, tak się rozczulił: ja z torbą pójdę, powiedział. A niech ojczyzna będzie cała.—Ale tu niechcie o ofary z majątku lub narażania życia; siedź w Warszawie i zajmuj się rządem. Oto wieś com wycisnął nakoniec?—*Panie kochanku*, ja będę w Warszawie rządził, a mnie p. Michał Rejtan w Nalibokach wszystkie moje niedzwiedzie wybije.—Udałem się do wojewody kijowskiego. Pan obczernych włosów, i coby je chętnie dla ojczyzny poświęcił, ale *ucieczszy uszy*, jakże to siedzieć w Warszawie, kiedy to człowiek przywykł po kilka dni ciągle z panem miecznikiem Ciesielskim pić w Szortynie, kiedy pan wojewodzina myśli, że mąż folwarki objeżdża?...—Byłem u marszałka Mnieszka. Niemożę! kocha ojczyznę, ale *świnia tura*, rządząc niemożna mieć processów, a jakże żyć bez codziennych konferencyj z jurystami?...—A pan Wielopolski krajczy koronny kocha ojczyznę, ale *bata bała*, jak zasiąde się w Warszawie, kto będzie dyspozytorów co sessy do roboty napędzał?... A pan Krakowski?—*Moja panno*, niechno się obmuruję w Białym stoku, to i o ojczyźnie pomyślę.—A Książę Sanguszek starosta czerkaski?—*Mospanie*, ja będę siedział w Warszawie, a moje stado w Sławucie sparszywieje.»

SKARDEC HISTORJI POLSKIEJ, przez Karola Sienkiewicza. Tom I. w Paryżu; MDCCCXXXIX.

Kto z nas nieczytał wyhornego początku w *Panu Podstoli* Krasickiego, gdzie podróżny, zdziwiony wzorowemi budynkami i gospodarstwem wioski do której przyhywa, na wszystkie zapytania: kto ten dom postawił? kto ogród zasadził? kto groblę? kto młyn? odbiera odpowiedź: pan podstoli, pan podstoli, i jeszcze pan podstoli. Owoż tego rodzaju *cicerone* i dziś się znalazł. Oprowdza on podróżnych po *Skarbcu* narodowej przeczności, a musi być dohrzy szlachcie, bo ma i piętno herbowe na samem czele; i nad każdym przedmiotem snąć zastanawiał się głęboko, bo o co go bądź zapytasz, on na wszystkie odpowiada: książę Czartoryski! Gdyby nie książę Czartoryski! Ohy książę Czartoryski! Tylko książę Czartoryski! Co mu tak weszło w nałóg, że gdy pewien podróżny tęp kiryeleyzon znużony zapytał na prędce: A ktoż ten świat stworzył?—Książę Adam Czartoryski! odpowiedział pan Karol z Kallinówki.